

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącymi sosnami.

(Ciąg dalszy).

20

— Co to takiego? — zawołała — Co się tobie stało? Czy to cień na twojej twarzy, czy też...

Schwyciłam ją za rękę. Teraz już mogłam mówić.

— Adelo — rzekłam — nie ty jedna tylko silnie umiesz kochać. Ja tak ciebie kocham, całym sercem. Niech o tem świadczy ta rana.

A gdy szeroko otworzyła oczy i zachwiała się, słabnąc, objęłam ją i przytuliłam się do jej ramienia.

— Mówisz, że jutro będę miała prawo listy odbierać! On wcale nie będzie chciał pisywać — jutro! Ta piękność, która się jemu podobała, minęła. Jeżeli zanadto ją cenili, to teraz ty i ja zrównaliśmy się — ty raczej dziś mnie przewyższasz! Będiesz tem szczęśliwsza, gdy pogodzicie się po tej rosterce!

Drgnęła, podniosła moją twarz rękami swemi, spojrzała na mnie i wstrząsnęła nią dreszcz.

— Karmelo! — szepnęła — to ta historia... ta historia, którą ci czytałam o Franciszku I i o...

— Tak — odpowiedziałam — to mi nasunęło tę myśl.

Zachwiała się pod nią kolana; ukłękła przede mną ale nie odrywała oczu od mojej twarzy.

— A... a Elwood?

— On nie wie o niczem. Ja dopiero dziś wieczór zdecydowałam się na to. Adelo, ja musiałam... ja nie miałam siły... porzucić was wszystkich albo... albo powiedzieć „nie“, gdyby on mnie osobiście poprosił o to, o co prosił mnie listownie.

A potem starałam się ją podnieść; ale ona całowała moje nogi, moją suknię, ręce moje, płacząc, jak gdyby duszę swoją wypłakać chciała. Ach, jaka ja byłam szczęśliwa! Przyszłość wydawała mi się taka prosta... Ale uczułam pieczenie w policzku i podniosłam rękę do twarzy.

Wtedy ona się zerwała.

— Ty cierpisz! — zawołała. — Musisz zaraz wracać do domu, zaraz, a ja tymczasem zatelefonuję do doktora Carpentera.

— Wróćmy razem — odpowiedziałam — możemy zatelefonować z domu.

Wtedy ten straszny wyraz znowu wrócił na jej twarz, a widząc, że ona zapomina o mojej ranie, i ja o niej zapominałam — z przerażeniem tylko myśląc, co ona teraz powie...

Gorsze to było, niż wszystko, co przypuszczać mogłam; Adela stanowczo wzbraniała się wracać do domu.

— Karmelo — mówiła — ja wyrzuciłam niesprawiedliwość twojej młodości. I ty go kochasz — nie jak dziecko, ale jak kobietę... Bądź szczęśliwą — moja śmierć da tobie szczęście.

Potrząsnęłam głową, ukazując zraniony policzek. I ona potrząsnęła głową i zwolna, spokojnie powiedziała:

— Nigdy nie byłaś tak piękną, jak w tej chwili. Gdybyśmy razem wróciły i zaczęły dawne życie, zaczęłyby się na nowo ta walka, która sumienie moje i moje całe istnienie podkopała. Ja tej męki nie znosiłabym dłużej, Karmelo. Dniem i nocą trawiłaby mnie ona. My troje na tym świecie nie możemy żyć obok siebie. Ja jestem najmniej kochana, i dlatego ja umrzeć powinnam. Jestem zdecydowana, Karmelo. Do tego doszłam!

Starałam się ją przekonać. Błagałam ją na wszystko, na tę ranę nawet, którą sobie zadałam. Ale ona już nie była sobą. Podjęła karteczkę i przeczytała ją, podczas gdy ja ją błagałam i głuchą stała się na moje słowa.

— Patrz, te słowa zabiły mnie — krzyknęła, mnąc w rękę tę kartkę. Czem jest odrobina trucizny? Trucizna tylko tego dopełni, co on zaczął.

Trucizna! Przypominałam sobie, że słyszałam, jak przewracała w buteleczkach w szafce z lekarstwami; poczułam, że głowa mi się zawraca i że nogi uginają się podemną.

— Nie rób tego! — zawołałam — Rozstrojona jesteś dzisiaj, do jutra się uspokoisz, inaczej czuć będziesz!

Jednakże stępały jej wzrok i blada twarz, jak skamieniała, nie wróżyły mi nic dobrego.

— Nic się we mnie nie zmieni — odpowiedziała. — Jeżeli nie uczynię tego dzisiaj, uczynię to wkrótce. Znam siebie.

Dreszcz mnie przejmował. Nie wiedziałam, co czynić, dokąd się zwrócić. Zagradzała mi sobą drogę ode drzwi, a wyglądała strasznie.

— Udając się tutaj — przemówiła — zabrałam ze sobą butelkę likieru i trzy kieliszki. Zabrałam też ze sobą buteleczkę trucizny, zapisaną niegdyś jako lekarstwo. Sądziłam, że zastanę tutaj Elwooda. Gdybym go była zastała, miałam zamiar wpuścić truciznę do jednego kieliszka, a potem nappełnić likierem wszystkie trzy. Bylibyśmy wypili, każde z nas swój kieliszek, a potem jedno z nas byłoby padło... Nie dbałam o to, które — ty, Elwood czy ja. Ale nie ma go tu — więc niechaj padnie los — czy ty, czy ja... chyba, że wolisz pewnością, Karmelo — a w takim razie ja naleję jeden tylko kieliszek i wypiję go sama!

Podniecona była do ostateczności i zrozpaczona. Śmierć była tuż, tuż.. czułam to — zapowiadała mi ją jej twarz wykrzywiona. Choćbym nawet krzyczała, ktoby mnie usłyszał? Nie pomyślałam o telefonie i wątpię, czy w owej chwili pozwoliłaby mi uciec się do niego. Władza, jaką zawsze nademną miała, silnie działała na mnie w tej chwili.

— Czy mam wypić sama? — powtórzyła.

— Nie! — krzyknęłam; a wtedy ręką sięgnęła do piersi i dobyła z pod stanika małą buteleczkę.

— O Adelo! — zaczęłam; ona jednakże nie zważała na mnie.

Miała na sobie długi płaszcz z kieszeniami. Z jednej z tych kieszeni dobyła butelkę w słomę oplecioną i postawiła ją na stoliku. Potem wydostała dwa kieliszeczki, postawiła je także i odwróciła się plecami. Styszałam, jak kropła po kropki napelniała szkło; ciemności zasnuły mi wzrok...

Nagle ona twarzą zwróciła się do mnie. Nigdy nie zapomnę jej wyrazu.

Podeszła do mnie, w każdej z rąk trzymając jeden kieliszek. Zbliżyła się, krocząc powoli, a doszedłszy do mnie, uśmiechnęła się i spojrzała mi w oczy. I rzekła:

— Wybierz dobrze, dziecko drogie. Zostaw dla mnie zatruty!

Jak zahypnotyzowana popatrzyłam, najpierw na jeden kieliszek, a potem na drugi. Gdyby która z jej rąk zadrżała, byłabym chwyciła za ten kieliszek, który ta ręka trzymała; jednakże najłżejsze drżenie nie wstrząsnęło tych zeszywniałych palców, ani też oczy jej nie drgnęły ni w prawo, ni w lewo.

— Adelo! — krzyknęłam — rzuć to o ziemię! Daj nam żyć — żyć!

Ale ona powtórzyła tylko to swoje okropne:

— Wybieraj!

Nie śmiałam wahać się dłużej. Nie patrząc, wyciągnęłam rękę i dotknawszy jednego kieliszka, odebrałam go z palców jej i podniosłam go do ust. W tej chwili i ona swój podniosła w górę.

— Ja sama nie wiem, który to jest — rzekła i wypila. Wobec tego i ja mój wychyliłam.

Kieliszki szczerknęły głośno, gdyśmy je odstawiały na stolik. Czekaliśmy teraz, patrząc jedna na drugą.

— Która z nas? Która? — zdawały się mówić jej usta.

Niebawem dowiedzieliśmy się.

— Dobrze wybrałaś — rzekła i padła na krzesło.

— Nie odchodź ode mnie! — zawołała, gdyż chciałam biedz i wzywać głośno pomocy. — Ja... ja się teraz czuję szczęśliwą, teraz, gdy wszystko już się rozstrzygnęło. Ale ja nie chcę umierać sama. O, jakże mi gorąco!

I zerwawszy się, zrzuciła ze siebie płaszcz i dyjąc, chwyciła powietrze i biegła po pokoju. Upadła znowu, ale tym razem na otomanę; ja zaś znowu chciałam biedz i wołać o pomoc, lecz ona mnie puścić nie chciała. Nagle drgnęła, uniosła się i spostrzegłam, że wielka zmiana w niej zaszła. Twardy, stępały wyraz zeszedł z twarzy, oczy patrzyły tklawie, niepokój i serdeczność malowały się w spojrzeniu.

— Szalona byłam! — zawołała — Karmelo, Karmelo, jaką ja krzywdę tobie wyrzuciłam, siostreczko moja, dziecko moje, dziecko!

Starałam się ją pocieszyć — starałam się opłacać własną straszną trwogę i uspokoić ją. Ale bliskość śmierci uciszyła biedne jej serce, budząc tylko wielką miłość dla mnie i dawną troskliwość. Niepokoiła się przyszłością moją, sieroctwem mojem. Wspominała matkę naszą i przysięgę, którą jej na łóżu śmierci złożyła, że opiekować się mną będzie i czuwać nade mną i nad bratem naszym, jak matka.

— I nie dotrzymałam przysięgi! — wołała — Artura zraziłam do siebie, a ciebie porzucam na pastwę cierpieniu i niebezpieczeństwu!

Nie mogłam jej pocieszyć. Widziałam, że odbiega ją życie, a nic nie mogłam uczynić. Tuliła się do mnie, zbierając wszystkie władze, myśląc za mnie i wskazując, co mam uczynić. Kazała mi spalić tę kartkę, wyrzucić przez okno dwa kieliszki, a jeden i tę buteleczkę od trucizny zostawić tuż pod jej

ręką. A wszystko to, zanim wyjdę z pokoju. A potem kazała mi telefonem zawezwać policję i powiedzieć, że coś złego stało się w klubie, ale nie podając swego imienia i nie przyznając się, że tam jestem.

— Skandalu się nie uniknie — mówiła — bylebyś ty tylko nie była w to zamieszana. Przysięgnij, że zastosujesz się do moich siów — przysięgnij, że wszystko zrobisz tak, jak ci mówię!

Przysięgałam. Obiecałam wszystko zrobić tak, jak chciała. Ja sama ledwie żyłam... ach, gdyby dom był się zapadł i zagrzebał nas obie, lepiejby się było stało!... Tymczasem świeca paliła się dalej, życie w jej oczach zagasło, a ręce jej, w których tuliła moje, opadły...

Usłyszałam lekkie westchnienie i cichą prośbę:

— Powiedz Arturowi, niechaj nigdy więcej... nigdy...

A potem... zamilkła...

Westchnienia... lzy... ręce, wznoszące się do twarzy... i znów milczenie zaległo salę. To milczenie przerwał głośny, rozdzierający jęk obwinionego. Nikt jednakże nie spojrzał na niego i dzięki Bogu, nikt też nie spojrzał na mnie. Oczy wszystkich utkwily w twarzy tego młodego dziewczęcia, którego opowiadanie taką cechą prawdy miało w sobie. chociaż tak sprzecznem było ze wszystkim. co wiadano dotąd. Jakież odkrycia nastąpią jeszcze? Zdawałoby się, że ona mówiła o śmierci siostry swojej?...

A przecież ta siostra nie umarła tym sposobem; jej siostra została zaduszoną. Czyż ta wytworna istota, tak piękna pomimo szramy na twarzy padła ofiarą hallucynacji co do pochodzenia tej szramy i tych strasznych okoliczności, wśród których ona powstała? Albo, co jeszcze trudniej przypuścić, czyżby te bolesne wyznania, ten akcent cierpienia i wstydu przy odsłanianiu tajemnic serca siostry i swego własnego — czyżby to wszystko miało być tylko komedią, sprytnie zagraną dla omamienia sądu i ukrycia prawdy?

Nawet ja, pamiętając jej wygląd, gdy zataczając się schodziła ze schodów owej pamiętnej nocy, blada, półprzytomna bólem czy przerażeniem, z ręką przyciśniętą do twarzy — nawet ja pytałem się w duchu, czy ta rozdzierająca opowieść nie kryje jeszcze straszniejszej tajemnicy? Badawczo patrzyłem w jej twarz i z męką w sercu starałem się przeniknąć, co leży poza jej anielską powierzchownością?

Jednakże w spokojnej tej, tak zastygłej twarzy nie mogłem nic dojrzeć prócz głębokiego smutku; czując niepewność otaczających, byłem jak na torturach, dopóki na zapytanie obrońcy nie odpowiedziała najspokojniej:

— Tak jest, ona w ten sposób umarła, z rękoma w moich rękach. Nie było przy tem nikogo więcej, byliśmy zupełnie same.

To rozstrzygnęło — a wrażenie było tak silne, że przez chwilę zdawało się, iż wrzawa wybuchnie na sali. Na twarzy Karmeli odbiło się zdziwienie, Artur drgnął i podniósł głowę, prokurator spojrzał z nową otuchą. Mr. Moffet jednakże, pełen spokoju i widocznego zaufania w sprawę, skierował znowu uwagę ogółu na swojego świadka, z szacunkiem i łagodnością zadając Karmeli pytanie:

— Czy może pani określić godzinę, o której się to stało? Czy może pani, jakkolwiek w przybliżeniu, oznaczyć czas?

— Nie, gdyż ja się nie odrazu poruszyłam. Czułam się, jak przykuta do miejsca. Młoda jestem i nigdy przedtem niczyjej śmierci nie widziałam. Gdy wstałam, chwiałam się na nogach, jak stara kobieta i prawie od zmysłów odchodziłam; opamiętałam się jednakże, ujrawszy tę kartkę na podłodze, tę kartkę, którą siostra kazała mi spalić. Podniosłam ją, skierowałam się do kominka, ale przelekłam się, przystanąłam w połowie drogi i obejrzałam się za siebie. Zdawało mi się, że siostra się odezwiała, że posłyszałam jej głos...

Ale to przywidzenie minęło, gdy zobaczyłam, jak ona spokojnie leży; więc też po chwili poszłam dalej i rzuciłam kartkę w mały płomyczek, który tlił się jeszcze po wypalonym ogniu. Widziałam, jak kartkę zapalił przeciąg, wiejący od drzwi za mną i jak paląca uleciała w górę.

Nie mogłam sobie rady dać, taka byłam udręczona. Nie śmiałam obejrzeć się i patrzeć na siostrę moją, leżącą tam za mną z twarzą śmiertelnie martwą, nieżyjącą, a ja przecież za tę jej śmierć czułam się poniekąd odpowiedzialną. Bałam się strasznie i długo tam klęczałam, modląc się i drżąc; nareszcie wstałam, decydując się zrobić to wszystko, co siostra mi zrobić kazała, skoro mnie Bóg zostawił przy życiu... Odwaga, jaką przedtem w sobie czułam, zupełnie mnie opuściła... a choć wiedziałam,